Profesor Józef Prokoff

Wspomnienia Tadeusza Cyrana, absolwenta z 1931 r.

Do gimnazjum Czackiego trafiłem dzięki przypadkowi. Jako dziesięcioletni indywidualista oświadczyłem rodzicom, że nie będę się uczył łaciny, najbliższe zaś gimnazjum (ojciec mój był kierownikiem szkoły powszechnej na prowincji) było typu humanistycznego. przed łaciną czułem jakiś nieokreślony lęk i broniłem się przed nauką tego przedmiotu wszelkimi, dostępnymi mi środkami. Dziecięcy więc upór zdecydował o kierunku mego wykształcenia. Ojciec umieścił mnie w Warszawie, wybrał typ szkoły matematyczno-przyrodniczej i tu zdałem egzamin do pierwszej klasy.

Nie poświęciłem się wprawdzie matematyce ani przyrodzie, nie mniej jednak kierunek i system nauczania w gimnazjum wywarły zasadniczy wpływ na kształtowanie się mego umysłu, ścisły sposób rozumowania, logiczne wyprowadzanie wniosków itp., słowem wszystko, czego oczekiwało się od szkół tego typu. W nadawaniu tych kierunków jedna z naczelnych ról przypadała matematykowi, którego miejsce za moich czasów zajmował prof. Józef Prokoff, niezbyt popularnie zwany „Sinusem" (wymawiać przez ś).

Wspaniały był to człowiek.

Powierzchowności, powiedziałbym, przeciętnej, w średnim wieku, raczej niski, nieco szpakowaty, nie wyróżniający się wyglądem zewnętrznym ani zachowaniem. Wymową zdradzał pochodzenie kresowe lub może był nawet Rosjaninem – nikt w to nie wnikał. Twarz miał nieco zniszczoną nielicznym śladami – może po ospie. Jako charakterystyczny szczegół zachowałem w pamięci jego wysokie czoło, za którym wyczuwało się nieprzeciętny umysł, oraz dobrotliwy, jasny wzrok, wskazujący na wielkie serce tego człowieka.

Był poważny, jednak nie surowy, skłonny do żartów, lecz tylko odpowiednich. Oburzała go wszelka gruboskórność. Imponował mi zawsze jego spokój i opanowanie, czym zjednywał sobie uczniów i na lekcjach potrafił wytworzyć atmosferę zainteresowania i natężenia uwagi, tak niezbędnych przy nauce tego przedmiotu.

Bezsporną jego zaletą było umiłowanie swego zawodu i nieukrywane, żywiołowe wprost pragnienie przekazania uczniom swej wiedzy. Gdy stwierdził, że klasa opanowała jakieś trudniejsze zagadnienie, oblicze jego wyraźnie promieniało radością. Wyczuwało się, że były to najszczęśliwsze jego chwile. Poza tym cechowała go zdecydowana wola nauczenia. Jeśli coś było w jego wykładzie niejasne, nie przechodził bynajmniej nad tym do porządku dziennego, lecz próbował innych sposobów, porównań i bardziej dostępnych argumentów. matematyka to jednak piękna nauka, gdzie jak chyba w żadnej innej gałęzi wiedzy, wszystkie drogi prowadzą do ściśle tego samego rezultatu. „Jeśli tylko sposób rozumowania jest słuszny, wynik zawsze musi być prawidłowy" często, zaciągając, powtarzał profesor. A miał tych sposobów zawsze pod dostatkiem i imponująco prosto i zrozumiale wyprowadzał rozwiązania najbardziej zdawałoby się zawiłych zagadnień lub dowody matematycznych twierdzeń. A sedno rzeczy leżało w tym, że to niby uczeń sam dochodził do kapitalnych i nieoczekiwanych wniosków, tak niedostrzegalną i jakby czarodziejską wprost była reżyseria profesora.

„Sinus" zwracał szczególną uwagę na ścisłość sformułowań matematycznych. Nie wystarczało zadanie rozwiązać, ale koniecznym było umieć całość opowiedzieć językiem

matematycznym, a to stanowiło zawsze dla ucznia nieporównanie większą trudność. Profesor był jednak cierpliwy i poprawiał, kazał powtarzać wiele razy, zdawałoby się aż do znudzenia. Pamiętam, że drażniło to grupę lepszych klasowych matematyków: „Zamiast iść naprzód, zamiast przerobić więcej zadań, przykładów, tracimy czas na głupstwa", rozumowali młodociani pyszałkowie. (Biję się w piersi, zdarzało się bowiem, że także brałem udział w podobnych krytykach.) Profesorowi chodziło jednak bardziej o każdego indywidualnego ucznia niż o poziom klasy. Znał możliwości wszystkich. Daremne były wysiłki w udzielaniu dorywczych, koleżeńskich pomocy, obojętne w jakiej formie. Tu nie wystarczyło dać prawidłową odpowiedź, tu, niestety, trzeba było zrozumieć, a to przecież było tak łatwe do spostrzeżenia i oceny.

Niewątpliwą przeto zaletą profesora było poświęcanie maksimum czasu i wysiłku niezdolnym i najsłabszym. Piłował, męczył, nudził, ale zmuszał do myślenia i niejednego jednak nauczył. A jeśli już wokół jakiegoś nieszczęśnika wytwarzała się wręcz beznadziejna sytuacja, jeszcze nie rezygnował. Nie mogąc zatrzymywać programu, oddawał takiego pod opiekę któregoś z „tęższych", do którego miał zaufanie, że nie zaprzepaści jego osobistych wysiłków. I tak jakoś szło. Pracowaliśmy pod jego kierunkiem wiele lat, aż przyszła matura.

I tu „Sinus", jak potem nam swe wrażenia opowiadał, przeżył jedną z największych tragedii swego życia. Jedno z zadań trygonometrycznych było łamigłówką nie do rozwiązania. (Zdarzają się takie raz na wiele lat; słyszałem, że w bieżącym roku również coś podobnego miało miejsce.) Profesor, znając treść zadania, z góry wiedział, że nikt tego nie ugryzie (przypadek chyba ...). I nie omylił się. Najlepsi zasmarowali całe arkusze papieru bez żadnych wyników. Biedny „Sinus" był bliski rozpaczy. Wreszcie nerwowo nie wytrzymał i ruszył między stoliki. Pod pozorem zainteresowania się stopniem zaawansowania prac potrafił gdzieniegdzie szepnąć nieznacznie zbawienne słówko o rzadkim twierdzeniu, które należało w rozwiązaniu zastosować. Był to nader niezwykły trick. Nie wszyscy potrafili tę pomoc wykorzystać, ale wielu jednak zadanie rozwiązało. Jak on nam, nieborak, po egzaminie się tłumaczył ze swojej bezradności, że musiał to zadanie wybrać, bo alternatywne zadanie z geometrii wykreślnej było równie trudne, a w tej dziedzinie klasa była jeszcze słabsza, ze swej walki pomiędzy lojalnością a pragnieniem ulżenia naszej nieszczęsnej doli.

Poczciwy, zacny „Sinus".

Ja szczególnie tego człowieka ceniłem. Poza tym, że był on moim ideowym drogowskazem, wiele osobiście mu zawdzięczałem. Ponieważ byłem w nienajlepszej sytuacji materialnej (nie wiem, skąd on o tym wiedział), sam zaproponował mi korepetycje, jeszcze na terenie gimnazjum, z których częściowo utrzymywałem się, nawet będąc już na Politechnice. Starałem się oczywiście zawsze jak najbardziej wiernie stosować jego metody nauczania, z dobrym zresztą skutkiem.

Śmierć zaskoczyła go w wieku 55 lat.

Umarł człowiek cichy, skromny, nie szukający poklasków. Stratę jego szkoła odczuła na pewno bardzo dotkliwie.